

Djelal Kadir

Polityczna poprawność a światopoglądowy aparat korekcyjny państwa

ER(R)GO. Teoria–Literatura–Kultura nr 2 (11), 23-26

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Polityczna poprawność a światopoglądowy aparat korekcyjny państwa

Wszystko zaczęło się dosyć niewinnie, bo od leksykalnej nielogiczności – swoistego *non sequitur*. Założeniem tejże było uczulenie dyskursu publicznego na specyfikę wrażliwości innych w kontekście wielokulturowej epoki, której historia nadała później znaczące miano ery „wojen kulturowych”. W tamtym okresie, w Stanach Zjednoczonych lat osiemdziesiątych, nie prowadziło się wojny przeciwko terrorowi, lecz przeciwko kulturze pojmowanej jako szczególny etniczno-rasowy konstrukt. Celem „politycznej poprawności” była taka modulacja opozycyjnych głosów w trwającej podówczas burzliwej politycznej debacie, która pozwoliłaby zaszczerpić elementy cywilizowanej formy ostrej wymianie zdań. Mniej więcej dwadzieścia lat później metamorfozy tego zjawiska przełożyły się na współczesną rzeczywistość „państwa ponad prawem”, a sama „polityczna poprawność” funkcjonuje teraz jako element wypracowanego przez owo bezkarne państwo „światopoglądowego aparatu korekcyjnego” – narzędzia nacisku, służącego eliminacji postaw dysydenckich oraz egzekwowaniu ideologicznej zgodności z oficjalnym światopoglądem. Od Seneki do Cyserona i od Orwella do Auerbacha – filologowie zawsze mieli świadomość, iż trajektoria morfologii leksemów służy jako szablon formacji politycznych i jest historycznym wyznacznikiem przemian społecznych. Losy „politycznej poprawności” potwierdzają trafność tej głębokiej obserwacji.

Nieunikniony rygor wyvodu naukowego każe nam dziś dostrzec, że z punktu widzenia historii i logiki „polityczna poprawność” jest oksymoronem: coś jest albo *polityczne*, albo *poprawne*. Mit, iż cokolwiek może być jednocześnie polityczne i poprawne jest wytworem wyrachowanej decyzji o jego powołaniu oraz politycznej strategii *polis*, które postrzegało siebie jako jaskrawe zaprzeczenie gminności wiejskiego *gminu* (ang. *villany of the ville*), czy pogańskiej natury *pagusa*. Jako swoisty socjokulturowy „morfem”, „polityczna poprawność” posiada moc określania, skutkiem czego po dziś dzień wywiera wpływ na rzeczywistość, legitymizując różne jakości jako poprawne (bez względu na to, czy istotnie są dopuszczalne lub legalne, czy też nie), o ile te ostatnie są bezpośrednio powiązane z funkcjonowaniem *polis* – i tym, co polityczne. W tym sensie „polityczna poprawność” historycznie emanuje z metropolii i rozprzestrzenia się na zewnątrz, w wyniku czego kryteria poprawności dla peryferii definiuje centrum – choćby nawet języki współczesnej krytyki zdekonstruowały tę dychotomię i skazały ją na banicję. Dynamika władzy i moc wartościującego określania bytów rezydują niezmiennie w centrach – przeświadczonych o swoim ośrodkowym statusie bez

względem na dobiegające z różnych stron sprzeciwy i wbrew argumentacjom, które dowodziłyby czegokolwiek innego – zaś wartościujące sądy wydawane na mocy sztywno usankcjonowanego przywileju tejże centralności mają wciąż znaczenie najwyższe.

Tak jak w przypadku nienaruszalności zasad gramatyki i metodycznej systematyczności, poprawność stanowi niepodlegającą kwestionowaniu formułę, która sprawuje rządy jako najwyższa zasada i niepodważalna norma. Polityczność, przeciwnie, zawiera się w negocjacjach dotyczących sposobu orzekania – i jest nieuniknionym kompromisem dającym w efekcie wybór opcji najmniej szkodliwych dla wszystkich negocjujących stron. Polityczność desygnuje przewidywalnie mniejsze zło. Poprawność wskazuje niemożliwość alternatyw wobec tego, co poprawne, czyli tego, co już *ipso facto* uznaje się za dobre. Łącznie, polityczność i poprawność mogą być w najlepszym wypadku katachrezą, a w najgorszym – antynomią. Nie mówimy tutaj o sprzeczności, ponieważ sprzeczności podlegają negocjacjom. Antynomie nie poddają się takiej formule ustalania sądów, bowiem brak im wieloznaczności, a ten wyklucza możliwość *ujednoznaczniania*. A więc bez względu na to, czy antynomia jest nominalna, czy normatywna – nazywa i rządzi *albo* jako nominalna, *albo* jako normatywna – lecz w każdym jednak razie nie jako nominalna i normatywna *naraz*. W pewnym zatem sensie funkcjonuje tak, jak gramatyka i gramatyczność: syntagmatyczne konstrukcje są *albo gramatyczne*, *albo niegramatyczne*. Sprzeczności natomiast rządzą się prawami odwrotnymi, dzięki czemu elementy sprzeczne – twierdzenie po twierdzeniu, zjawisko po zjawisku – podlegają rewizji i poddają się przemianie bądź to na drodze negocjacji, bądź w wyniku interpretacyjnych odczytań.

Ostatecznie więc, jako antynomia, „polityczna poprawność” zapewnia sobie żywotność opierające się na aparacie nacisku, na czynnikach, które można byłoby określić mianem *policyjnych* – a więc podtrzymuje ją przy życiu siła *polis* i tego, co *polityczne*, a dla polityczności, bez względu na koszty i okoliczności, poprawność jest wartością optymalną. Ponieważ w warunkach nakazowości i przymusu wszelkie negocjacje muszą okazać się płonne, polityczność ostatecznie poddaje się normatywności, która powoduje, że ta ostatnia przestaje podlegać osądowi. A raczej, w takim kontekście, polityczność staje się tak samo absolutna jak jakikolwiek imperatyw kategoriiczny. Kiedy polityczność stanie się imperatywem – szczególnie, jeżeli ów imperatyw kamufluje maska poprawności – od imperialnego absolutyzmu dzieli ją tylko maleńki krok: kroczek na bardzo stromym stoku. Żyjemy w politycznie poprawnych czasach.

Największa groźba, jaka wiąże się z politycznością jako imperatywem, tkwi w utracie tego, co przez polityczność zostaje wykluczone poza przestrzeń publicznego dyskursu. Elementem, który polityczny imperatyw eliminuje ze sfery publicznej, nie jest tegoż imperatywu *antynomia* (czyli poprawność) ale jego *antyteza* (czyli komparatyw). Jeżeli imperatyw jest uniwersalny, to komparatyw jest relacyjny. A zatem jeżeli uniwersalium, rozprawiwszy się już z groźbą relacyjności, pozostałoby na polu walki samotne, wówczas nie podlegałoby dłużej negocjacjom, nie przysługiwałoby wobec niego żadna apelacja i – jeżeli do tego obstawałoby

niezmiennie przy swej poprawności mimo jej paradoksalnej, oksymoronicznej natury – musiałoby się stać absolutem. Kto nie idzie z nami, ten unieważniony.

„Polityczna poprawność” nie jest zjawiskiem nowym. Każda nowinka, jaką to zjawisko wydaje się nam dziś oferować w świetle współcześnie obowiązujących mód – w istocie rzeczy tkwi korzeniami w polityce kulturowej Stanów Zjednoczonych ostatniego ćwierćwiecza XX stulecia. W tamtym okresie polityczna poprawność była oksymoronem względnie „oswojonym” – pozostającym, jak już zaznaczałem, w służbie kulturowego pluralizmu i pełniącym funkcję moderatora opozycyjnych twierdzeń lub sprzecznych roszczeń w ogniu wielokulturowej debaty. Pomimo wewnętrznego paradoksu, „polityczna poprawność” miała wówczas za zadanie zapewnić ciągłość otwartej kulturowej debaty i spowodować, aby sfera publiczna dostroiła swoją wrażliwość do wielokulturowego dyskursu tak, by była w stanie odbierać przekaz środowisk opozycyjnych i przyjmować kontrargumenty wysuwane wobec argumentów własnych. Polityczna poprawność miała niwelować napięcie doprowadzające do agresywnych werbalnych ataków, a moderując ton wypowiedzi wniesić w tę debatę cywilizowane formy dialogu i przenieść je następnie w sferę stosunków społecznych i politycznych.

Historia, niestety, wykazuje zdolność odzwierciedlania nielogiczności dyskursu. Sfera publiczna jest bowiem niebezpieczną areną, na której wcześniej czy później polityczny język musi się popłatać – zwłaszcza, jeżeli cechuje go celowa lub niezamierzona służebność wobec politycznych interesów. Polityka wcześniej czy później zrówna się z leksyką – a to, co od początku było zwichnięte, w nieunikniony sposób podlegać będzie kolejnym skrzywieniom. (Zjawisko to celnie uchwycił George Orwell, a ostatnio, raczej niefortunnie, zademonstrowali nam jego mechanizm inni, historycznie mniej odlegli George’owie.) Trzeba jednak przy tym zauważyć, że potencjał efektywności leksykalnego oportunistu każe mu przybierać formy stosowne do politycznych potrzeb danych czasów.

Ewidentnie, jako pokrętnie i zwichnięte uniwersalium „polityczna poprawność” psuje uniwersaliom dobre imię. Podobnie jak pod koniec dwudziestego wieku patologię etnocentryzmów i etnonacjonalizmów okaleczyły i poważnie osłabiły to, co wspólnotowe, tak na początku XXI wieku „polityczna poprawność” stała się rakiem, żerującym na tym, co uniwersalne. Choroba wyszła z fazy utajnionej dokładnie w tym czasie, kiedy mikronarracje postmodernizmu objawiły swoją zjadliwość i okazały się równie śmiercionośne, jak wielkie metanarracje hegemonicznego modernizmu, które te pierwsze miały ostatecznie rozsadzić od wewnątrz.

Wyzbywszy się więc tego, co stanowiło o użyteczności nowoczesności i wyrosłych z niej „post-izmów”, zwróciliśmy się znów ku niedorzecznemu prymityzmowi atawistycznych duchów przeszłości, które podnoszą zgiełk żądając czystości moralnych zasad i „politycznej poprawności”, która przeplata się z prawością dyktowaną zastraszeniem i gorliwością eschatologii spraw ostatecznych. „Polityczna poprawność” jako warunek wstępny apokaliptycznej soteriologii to myto, które nie podlega negocjacom: jeżeli odmówią zapłaty, odszczepieńców czeka potępienie, a buntowników – neutralizacja. W przestrzeni takiej „politycznej poprawności” jedynie chętni mogą włączyć się w *polis*; niechętni zaś, aby się „poprawili”,

muszą zostać poddani działaniu „korekcyjnego aparatu uniwersalnej prawdy” oraz „absolutnego uniwersalium zwichniętego kategoriycznego imperatywu poprawności” – niezależnie od tego czy w świecie obowiązują jakieś międzynarodowe prawa i czy istnieją uniwersalne normy.

Jak więc można dziś sprawnie poruszać się w trudnym obszarze prawości i uczciwości ogarniętym „polityczną poprawnością” dnia dzisiejszego, jeżeli jedynymi narzędziami rozpoznania terenu są naukowy wgląd i krytyka kultury? Bez wątpienia – ostrożnie. Uczciwie i szczerze – to oczywiste. Lecz jeśli tak się złoży, że domeną czyichś dociekań i jednocześnie przedmiotem krytyki będzie absolutne uniwersalium „politycznej poprawności” – co wtedy? W takim właśnie, zdecydowanie niewygodnym położeniu znajduje się współczesny amerykańista, a już z pewnością badacz i krytyk sięgający w swych amerykańistycznych dociekaniach poza arbitralnie wytyczoną, ograniczoną wymogami współczesnej „politycznej poprawności” i opisaną za pomocą oficjalnych parametrów dziedzinę, przestrzeganie granic której ściśle egzekwują oficjalnie umocowane, profesjonalne organizacje.

Dylematy te jednak nie będą dotyczyły amerykańistów, którzy na wskroś przeszują wzrokiem misterną sieć „politycznej poprawności” i patrzą przez nią niczym przez otwarte na oścież okno. Taka niczym nie zamglona wizja może jednak być przywilejem jedynie tych obdarzonych ostrzejszymi umysłami i szerszymi zdolnościami, tych błyskotliwych i szybkich, którzy rozkwitają w każdych warunkach. Amerykanista bardziej rozważny, unikający komentarzy, lecz wierny własnym emocjom, tak jak kronikarz z Herbertowskiego *Raportu z obłązonego miasta* czuje się w obowiązku spisywać „historię obłązenia” – nawet, jeżeli nie jest pewny dla kogo to czyni.